



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Leonard Majewski

Kręta droga do domu

Urodziłem się 18 października 1928 roku w Poznaniu, w rodzinie pracownika PKP, kierownika pociągu, jako piąte, ostatnie dziecko. Z szczęśliwych lat przedwojennych, których było niespełna 11, pamiętam najszcześniejsze wydarzenia. Wspomnę tylko, że starszego z braci nie znałem, gdyż zmarł przed moim urodzeniem. W 1936 roku zmarła też najstarsza siostra. Pozostali rodzice i nas trójka dzieci. Dziadek mój ze strony Ojca – Wojciech – był Powstańcem Wielkopolskim. Pamiętam pielęgnowany przez Dziadka mundur powstańczy. Dziadek przez wiele lat po odzyskaniu niepodległości, do czasu przejścia na emeryturę (około roku 1935-37) był uzbrojonym strażnikiem Fortu V i VII (być może jeszcze któregoś) w Poznaniu i przy tych Fortach mieszkał. Pamiętam zjazdy rodzinne u Dziadków z okazji świąt, imienin i jubileuszy.

Ojciec mój – Walenty (1890) – odbywał służbę wojskową w armii niemieckiej, także w latach I wojny światowej. Był m.in. uczestnikiem walk w 1916r. pod Verdun. Wiem, że dla uniknięcia potem udziału w walce z przeciwnikami Niemiec, sprzymierzeńcami Polski – Francuzami i Anglikami, zranił się, przestrzelując sobie serdeczny palec lewej ręki. Ranny, został zwolniony z wojska i podjął pracę (ponownie) na kolei. Wzrastałem w rodzinie patriotycznej.

W wakacje 1935 roku w ramach wycieczki rodzin kolejarskich z Poznania zwiedziliśmy południowe i południowo-wschodnie rejony kraju. Niezapomniana wycieczka wakacyjna. Widziałem wtedy: Lwów, Zaleszczyki, Dniestr, Kraków, Wawel, Marszałka Józefa Piłsudskiego w oszklonej trumnie, Panoramę Raclawicką, Kościół Mariacki, Sukiennice, Kopiec Kościuszki, Katowice, Częstochowę itd. Niezapomniane doznania jak na 7-latkę. Pamiętam radosny dzień, kiedy w 1936 roku rodzice kupili pierwszy lampowy odbiornik radiowy, a była to 5-lampowa „SABA”.

W 1935 roku rozpocząłem naukę szkolną w Szkole nr 33. Od 1938 roku byłem uczniem Szkoły nr 9.

Nastał rok 1939. Ukończyłem 4-tą klasę z promocją do 5-tej. Wakacje, które z siostrą i bratem spędzałem w wujostwa w Kutnie. Tam, z trojgiem kuzynostwa, spędziliśmy wspaniałe wakacje. Dzięki wujkowi – też kierownikowi pociągu PKP – odbyliśmy kilka wycieczek pociągiem. Najciekawszą, prawie tragiczną dla mnie, była ostatnia wycieczka nad Wisłę do Płocka-Radziwie, podczas której omal nie utonąłem w jej nurtach. Tylko dzięki przytomności i sprawności przypadkowego wędkarza uratowałem życie.

W dniu 20 sierpnia wróciliśmy do domu w Poznaniu. Pamiętam gorączkowe przygotowania na wypadek wojny. Obowiązek wycinania w parkanach drewnianych pionowych otworów. Każdy z nas dzieci, już w szkole przygotowaliśmy sobie puszki po papierosach „Mewa” z tasiemką na szyję, a w puszcze przygotowany tampon z kilku warstw gazy, z tasiemką do wiązania, jako najprostsza maskę

na wypadek gazu. Pamiętam, że tak rodzice, jak sąsiedzi, krewni i inni, wszyscy byli pewni, że jeżeli Niemcy (Hitler) wypowie nam wojnę, to... „my mu pokażemy!”, a przecież Francja i Anglia tylko czekają na jakikolwiek ruch Hitlera w stronę Polski. Od wielu miesięcy śpiewaliśmy wszyscy piosenkę z takim tekstem : „Był sobie malarz, chciał on korytarz, a my mu na to z Poznania – damy ci damy, nasz ty malarzu, ale.... do pomalowania !”

Wojna wybuchła! Samoloty niemieckie! Mówią, że już bombardują! Panika! Cały strach wojny w tym pierwszym dniu, to tylko niespodziane lotnictwo nieprzyjaciela i możliwość bomb z ich strony.

Co robić? – głowią się rodzice. Mieszkaliśmy w starym, 2-piętrowym budynku, oddalonym około 100-150 metrów od kościoła Matki Boskiej Bolesnej. Z obawy, że na wypadek bomby w kościół, wieża przewróci się i może sięgnąć naszego budynku i nas w nim pogrzebać. Powodowany tą obawą, ojciec zdecydował, że tę noc spędzimy na ogródku działkowym, który znajdował się przy Al. Reymonta, między boiskiem „ARENA” (około 100 metrów) i... koszarami ułanów (około 50 m). Tak to, w trosce o najbliższych, traci się głowę i w perspektywie ewentualnych bombardowań, idzie się spać pod koszary!

Noc minęła spokojnie. Ojciec z mamą dalej planowali ochronę. Ojciec przypomniał, że wg rozkładu jazdy, 2 września prowadzi pusty pociąg towarowy do Warszawy. Zapadła decyzja. Skoro świt (2 września) idziemy prędko do domu. Mama pakuje trochę jedzenia, ubrań i bielizny i pojedziemy z Ojcem tym towarowym pociągiem do Kutna i Cioci,

Ojciec doprowadzi pociąg do Warszawy i wróci do nas do Kutna, gdzie przeczekamy tych kilka dni, wojsko pokona i przepędzi Niemców, to spokojnie wrócimy do Poznania i domu.

Mając w perspektywie dalszy ciąg wspaniałych wakacji z sierpnia, bardzo nam – dzieciom – ta „ucieczka” odpowiadała.

Przyszlśmy na dworzec, a ten „pusty” pociąg jest tak wypełniony uciekinierami, podobnymi do nas, że trudno znaleźć jakiegokolwiek miejsca. Tylko dzięki ojca mundurowi i „służbie”, udało się nas ulokować stosunkowo blisko Ojca i... pojechaliśmy. Trasę Poznań – Kutno, pociąg osobowy pokonywał w 4 godz. Nasz pociąg pokonał ją w... 24 godziny.

3 września w południe byliśmy w Kutnie. Już kilkadziesiąt kilometrów za Poznaniem, za stacją Słupca, staliśmy kilka godzin z powodu zniszczenia przez bomby torowiska. Nawoływano mężczyzn wśród podróżnych w celu naprawy toru. Pojechaliśmy dalej. Przed stacją Kłodawa następny postój. Podobno zbombardowano pociąg przed nami! Kolejny, kilkugodzinny postój. Wreszcie dojechaliśmy do Kutna. Warunki tej podróży nie były zbyt ciekawe. Ludzie w większości siedzieli na walizkach, koszach, pakach. Kto miał jakikolwiek materac czy koc i miał tyle miejsca, to kładł się. Ja też leżałem na jakimś kocu, ale pamiętam, że „podglówkiem” były nogi w oficerskich butach jakiegoś wojskowego, który podróżował też w naszym wagonie.

Ojciec pojechał do Warszawy, tam otrzymał polecenie prowadzenia tego pociągu dalej na wschód – do Równego. Tam po kilku dniach popadł w niewolę radziecką (został internowany), ale 6 listopada, nie zastając nas w Kutnie, wrócił szczęśliwie do domu w Poznaniu.

W Kutnie było tragicznie, bombardowań było wiele – Łęczycza, Azory, Piątek, Łęczycza, Rzeka Bzura, Puszcza Kampinoska, a samo zdobywanie i zajmowanie miasta! Myśmy mieszkali nie w samym mieście. Trochę na uboczu, 300-400 metrów za Parkiem. Ciocia ze mną i siostrą, byliśmy w domu. Mama, mój brat i kuzynostwo, codziennie chodzili do miasta, po chleb i inną żywność. Pewnego razu wrócili z ogromną ilością papierosów i tytoniu, w kartonach, torbach, zawiniątkach i tobołkach. Okazało się, że bomby spadły na Wytwórnę Papierosów i magazyny. Z obawy przed pożarem, pozwolono zabierać wyroby ludziom, którzy mogli wejść na teren. Wstęp jednak mieli tylko mundurowi, tzn. wojskowi, policjanci, strażacy, kolejarze itd. Oknami wyrzucano wyroby na ulicę, a tam zbierali je pozostali „niemundurowi”. Niemcy wkroczyli. Strach padł na wszystkich. Słyszało się tylko lamenty – jak to możliwe, że aż tak daleko pozwolono im wejść?! Żołnierze niemieccy spokojnie okopywali się wokół zabudowań. Nieopodal zbudowali gniazdo karabinów maszynowych. Nas – dzieci – jakoś tolerowali. Pozwalali nawet zabierać resztki zupy wojskowej z soczewicy (niem. Linsen), gotowanej jak tradycyjna grochówka.

Pod koniec września udało nam się wyjechać pociągiem do Poznania. Okazało się, że wobec zniszczenia torowisk pociąg pojedzie przez Inowrocław. Tam też dojechaliśmy i... koniec jazdy. Dalej pociągi nie kursowały. Takich jak my, powracających z ucieczki, było kilkadziesiąt rodzin. Ktoś tam wskazał, gdzie można przenocować, pobyć. Było to na ulicy Dworcowej. Myśmy trafili do rodziny kolejarzkiej. Tam przebywaliśmy 4-5 dni, do czasu, kiedy zorganizowała się grupa kilkunastu osób, którą stać było na wynajem wozu konnego, którym odbywano podróż do Gniezna, skąd kursowały już pociągi do Poznania. Długo podziwiałem Mamę, która dysponując resztą pieniędzy dojechała z nami do Inowrocławia, gdzie, korzystając z braku na rynku papierosów sprzedawała sporą część „zapasu” z Kutna – „Klubowe” i „Płaskie”, co starczyło na opłacenie składkowego przejazdu wozem do Gniezna. osób z bagażami i koniki pognały do Gniezna. Przyjechaliśmy późnym wieczorem. Pociągu już nie było. Na dworcu nie można było nocować. Ktoś z podróżnych miał znajomych 2-3 kilometry za Gniezmem. Tam

też udaliśmy się „naszym” wozem i tam też, dzięki życzliwości gospodarzy, w ich mieszkaniu (my – w kuchni) na słomie przenocowaliśmy. Skoro świt likwidacja legowisk, na wóz i do Gniezna, Z Gniezna, jut normalnym pociągami, wróciliśmy do Poznania i domu. Było to 7 października 1939 roku.

Niemcy uruchomili szkoły podstawowe i do 6 listopada 1939 roku uczęszczałem do 5-tej klasy, ale w języku niemieckim. Szkoły zamknięto i koniec nauki.

Ponieważ byłem roslim, silnym chłopakiem, już w 1940 roku pracowałem w sąsiadującym z nami Składzie Pasz – pana Kuczyńskiego, pomagając przy rozładunku masowych pasz – słomy i siana. Zakład ten zamknięto, więc „zaangażowałem” się u mleczarza, pomagając przy rozładunku mleka, dowożonego z okolic Poznania przez pana Michała Przydanka z Mirosławek koło Stęszewa. Ta prosta, jakkolwiek ciężka praca przy dźwiganiu 20-30 litrowych konwi z mlekiem, dawała mi zadowolenie, tym bardziej, że codziennie przynosiłem duży dzban mleka i spore pakiety sera. Wiem, że Mama dzieliła się tymi produktami z sąsiadkami wychowującymi małe dzieci.

Z czasem władze niemieckie zabroniły nam (było nas kilku) wstępu na teren mleczarni. Skończyło się więc mleko i dożywienie. Nie pozostałem bezczynny. Na naszej ulicy (Lodowa) mieścił się punkt sprzedaży ziemniaków, prowadzony przez Polaka – pana Kazimierza Fenglera. Ten pan zatrudnił nas dwóch chłopaków i codziennie sprzedawaliśmy na pobliskim targu (Rynek Łazarski) detalicznie ziemniaki, a popołudniami rozwoziliśmy wózkami zamówione przez Niemców ziemniaki w workach po 50-100 kilogramów.

Ojciec mój pracował na kolei na stanowisku bagażowego. Często jeździł służbowo do Warszawy, gdzie wtedy przebywała z rodziną wysiedlona już w listopadzie 1939 roku ciocia – siostra Ojca, której męża, a mojego wujka, aresztowano w Warszawie i zamordowano wycieńczonego gdzieś w miejscu pracy na szosie.

Wiem, że Ojciec przewoził potajemnie do nich jakieś materiały, ukrywane w wagonie bagażowym, a także pod podwójnym dnem swego kuferka.. Z uwagi na zaangażowanie Ojca w jakiejś konspiracji w Warszawie ja z siostrą, zgodnie z obowiązującymi przepisami niemieckimi, zgłosiliśmy się w Urzędzie Zatrudnienia (Arbeitsamt) po ukończeniu 14 tego roku życia. Siostra z dniem 22 marca 1941 roku jako pomoc domowa w niemieckiej rodzinie – Olhorstów, ja natomiast z dniem 19 października 1942 roku.

Muszę dodać, że starszy brat (rok urodzenia 1923) już w listopadzie 1939 roku wywieziony został na przymusowe roboty do Szczecina i przez cały czas wojny – okupacji pracował tam w cukrowni.

Mnie Arbeitsamt skierował do pracy w przedsiębiorstwie budowlanym Niemca – „HERBERT KUTZNER” – w Poznaniu, oficjalnie w charakterze ucznia murarskiego, faktycznie zaś robotnika, wprawdzie przy budowie baraków na mieszkania dla zamieszcanych pracowników kolei. Następnymi miejscami pracy była budowa podziemnych schronów przeciwlotniczych w Poznaniu. Pierwszy był na Placu przed kościołem Zmartwychwstańców, następny na Alejach Marcinkowskiego. Cały czas pracowałem wśród starszych murarzy, cieśli, betoniarza, instalatorów i robotników – naturalnie Polaków. Budowami kierował Niemiec – Ebert....(?). Dokładnych personaliów nie pamiętam. Ostatnim miejscem pracy w tym przedsiębiorstwie była budowa nowej hali (fundamentów) na terenie Rzeźni w Poznaniu. Kierownikiem budowy był Polak – pan Molski. Po kilku dniach pracy w dniu 31 sierpnia 1944 roku, w przerwie obiadowej oddaliłem się z 2-ma kolegami kilkadziesiąt metrów do sąsiedniej hali, aby zobaczyć, jak odbywa się ubój koni. Wróciliśmy na miejsce pracy o 15 minut za późno. Zbesztani przez kierownika, coś tam „odbąknąłem” pod nosem i... naraziłem się.

W tym samym dniu kierownik otrzymał od zwierzchników polecenie wyznaczenia jednego robotnika na roboty fortyfikacyjne tzw. „Einsatz”. Podczas zakończenia dnia pracy, kierownik wręczył mi karteczkę z poleceniem stawienia się nazajutrz (1 sierpnia.1944 roku) o godz. 6.00 na Dworcu Kolejowym gotowy na wyjazd. W domu Mama lamentowała, ale nie było wyboru. Z uwagi na działalność konspiracyjną Ojca nie można było ryzykować mojej ucieczki, która w konsekwencji doprowadziłaby do wszczęcia poszukiwań.

W dniu 1 sierpnia 1944 roku wywieziono mnie w dość dużej grupie, około 100-150 osób, do miejscowości Osuch (niem. Malzmühle), pow. Czarnków. Zakwaterowano nas w stodołach niemieckich rolników i w pobliskich lasach, zagajnikach, kopaliśmy okopy – rowy strzeleckie, które jednocześnie faszynowaliśmy gałęziami (wyplataliśmy ściany, aby się nie obsypywały). Praca była ciężka, ale byłem młody (prawie 16 lat), zdrowy, silny, więc znosiłem trudy. Po upływie 2-ch tygodni wykorzystując nieobecność kierownika, który mieszkał w Czarnkowie, we 3-ch nielegalnie pojechaliliśmy do domów w Poznaniu, z zamiarem zmiany i uzupełnienia bielizny. Z obawy przed kontrolą na dworcu w Poznaniu, wysiedliśmy na przedmieściu Poznań-Golecin. Ktoś znajomy postarał się nam o bilety powrotne na poniedziałek i szczęśliwie wróciliśmy do pracy. Nieobecność nasza została jednak odkryta i za karę musieliśmy w następną niedzielę rozładować kilka wozów siana w gospodarstwach Niemców wskazanych przez kierownika budowy.

Pracowałem do pierwszych dni września 1944 roku. Kierownik otrzymał podobno polecenie wyznaczenia grupy młodszych robotników na roboty fortyfikacyjne do Niemiec, na tzw. „Westinsatz”. Około

10 września 1944 roku zawieziono nas w liczbie kilkunastu do Poznania do Obozu Pracy (Durchgangslager) w Poznaniu-Górczynie, skąd 25 września zaprowadzono nas na dworzec i załadowano do 2 wagonów osobowych, które dołączono do przejeżdżającego przez Poznań pociągu osobowego, którym podobno wywożono cywilną ludność – uczestników Powstania. Warszawskiego.

Zawieziono nas do Bawarii, za Norymbergę, do Neumarku, do Obozu Pracy wśród gór i kamieniołomów. Obozem kierowali Niemcy i Ukraińcy. Tam zaewidencjonowano nas, ostrzyżono, odwyszawiono (wówczas jeszcze niepotrzebnie), wykonano zdjęcia z numerem (mój nr 15556) i przez kilka dni zatrudniano przy znoszeniu z gór w rejon obozu kamieni i głazów. Podobno do obróbki kamieniarskiej.

Około 10 października 1944 roku przetransportowano nas – 120 mężczyzn – pod eskortą uzbrojonych grup „TODT” do Niemiec Zachodnich – Nadrenia w rejon przyfrontowy, na płn.-zach. od Koblenz, Gerolstein, okolice Prüm. Nazwy wioski w której nas zakwaterowano (w stodołach) nie pamiętam, ale w adresie Prüm było poczta.

Do pracy polegającej na kopaniu rowów przeciwpancernych dochodziliśmy codziennie około 4 kilometry na zachód, nieustannie nadzorowani przez strażników z grup „TODT”. W okresie tym, poza zwalnianiem tempa pracy, zajmowałem się podrabianiem (produkcją fałszywych) kartek na dzień na rację żywności, wydawaną nam codziennie w drodze powrotnej do miejsca noclegowego (w stodołach i szopach), zaopatrując w nie kolegów i najbliższych współtowarzyszy. Kuchnia była wojskowa, gdyż w wiosce tej nie było już mieszkańców, Stacjonował natomiast niewielki oddział żołnierzy niemieckich.

W połowie grudnia 1944 roku bezpośrednio po ofensywie niemieckiej w Ardenach przerzucono nas wszystkich za frontem – pod wyjątkowo silnym nadzorem – na teren Luksemburgu, a potem Belgii, gdzie naprawialiśmy drogi, a nocami kopaliśmy rowy i okopy strzeleckie. Utrudnieniem dodatkowym była stosunkowo ostra i śnieżna zima.

Wobec braku żywności, którą była wtedy najczęściej wyrąbywana spod śniegu okopowizna, czasem jakieś późne owoce – tłumacząc się zimnem i głodem – odmawialiśmy wykonywania pracy. Były dni, że strażnicy – sami głodni – tolerowali nasze rozejście się z miejsca pracy na godzinę, w celu poszukiwania żywności na własną rękę.

Na terenach tych (Belgia i Luksemburg), z których wyparto Amerykanów, pozostały amerykańskie okopy i szalasy połowe. Znajdowaliśmy w nich żywność i sporo czystej, suchej, cieplej bielizny, obuwia i sort mundurów. Być może w trosce o naszą dalszą przydatność do pracy, ale z pewnością w celu zmylenia lotnictwa alianckiego, ustawicznie patrolującego tereny przyfrontowe, Niemcy pozwolili nam skorzystać z tych „zdobyczy”, co też z chęcią uczyniliśmy, usuwając z mundurów dystynkcje i inne naszywki. Mimo tego, bywało, że lotnicy alianccy strzelali do nas z broni maszynowej. Byliśmy doskonale widoczni na śniegu przy świetle księżyca. Ochroną był las. Był dzień 21 stycznia 1945 roku. Piękny, słoneczny, mroźny dzień. Znaleźliśmy się w wiosce belgijskiej, tylko częściowo zamieszkałej. Nazwy tej miejscowości nie znam. Było to w południowej części Belgii, gdzieś w rejonie Bastogne. Było południe. Zatrzymano nas na skraju wioski i pozwolono rozejść się na godzinę „za jedzeniem”.

Z dwoma współtowarzyszami niedoli, których tylko imiona zapamiętałem: Bolesław – około 40 lat i Antoni-Zbigniew – około 20 lat oraz ja (lat 16) – znaleźliśmy gospodarstwo w którym zastaliśmy 3 osoby (kobieta i 2 mężczyzn), którzy byli podobno rodzeństwem, w wieku 35 45 lat. Ludzie ci, nie ukrywając zdziwienia jakie wywarł na nich nasz amerykański, wojskowy ubiór, nakarmili nas, a dowiedziawszy się z naszej łamanej niemieczyny, że jesteśmy Polakami wywiezionymi na przymusowe roboty, dali nam delikatnie do zrozumienia o istnieniu możliwości ucieczki i przeczekania do czasu wkroczenia Amerykanów, mówiąc między innymi: „...przypuszczamy, że Amerykanie lada dzień ruszą, zaatakują, ~ że na pewno front będzie się przesuwiał, że...może warto na nich (wojsko USA) gdzieś w kącie poczekać...” itd.

Po powrocie na miejsce zbiórki dostrzegliśmy zdenerwowanie strażników i pośpiech w jakim nas formują w jeden „gęsi” szereg.

Strażnicy (około 40 osób) podzieleni na dwie grupy otwierali i zamykali ten szereg. Kierując się na wschód pospiesznie nas wycofywali. Ja ze wspomnianymi kolegami znalazłem się gdzieś w połowie tego długiego (około 160 osób) szeregu. Po przejściu około 2 kilometry od wioski, wykorzystując ostry zakręt drogi w lesie, wyskoczyliśmy w trójkę z kolumny-szeregu w śnieg, między pierwsze krzaki i drzewa.. Przywarliśmy w śniegu, aby odczekać przejście kolumny, potem, dla pewności, trochę głębiej w las. Udało się. Co dalej? Duży mróz i spory śnieg. Zapada zmierzch. Co robić? Pozostać w lesie? Wrócić do poznanych gospodarzy? Może to podstęp? Może ostatnia szansa? Na dodatek w wiosce tej stacjonowała jakaś, z pewnością nieliczna jednostka wojsk niemieckich. My byliśmy bezbroni. Strefa przyfrontowa, no i ten nasz nieszczęsny w tej sytuacji mundur-ubiór. Zdecydowaliśmy jednak i cichaczem, w ciemnościach, wróciliśmy do poznanego wcześniej gospodarstwa, kryjąc się w oborze między bydłem. Niepokój zwierząt przywołał gospodarza, który dostrzegając nas, podniecony, lecz niezbyt zdziwiony, przywołał rodzeństwo; wszyscy wprost ucieszeni naszym powrotem, ukryli nas w sianie w stodole nad oborą, oddzieloną od mieszkania tylko korytarzem.

Karmiąc nas cichaczem informowali o poczynaniach Niemców w wiosce. Wspaniali ludzie. Doskonała konspiracja, mimo tylu obaw i wątpliwości na początku.

Po 2 dniach (23 stycznia 1945 roku) wkroczyli do wioski Amerykanie. Nasza początkowa radość i entuzjazm, z powodu niezajomości języka i niemożności porozumienia się dla wyjaśnienia naszej sytuacji, pogorszonej naszym amerykańskim ubiorem, zamieniły się w czarną rozpacz. Trzymani „na muszce”, traktowani jak szpiedzy, zostaliśmy zabrani i dołączeni do 4-ch innych robotników z naszej grupy, który – jak się okazało – przetrwali w innym miejscu.

Po bezskutecznej próbie odszukania przez wartownika – żołnierza USA – posuwającego się dowództwa, poinformowani zostaliśmy jednoznacznie (choć tylko na migi), że zostaniemy rozstrzelani jako szpiedzy. Wtedy przeżyłem najtragiczniejsze w życiu godziny, które trudno zrelacjonować. Śmierć w tej strefie zglądała nam w oczy codziennie. Ewentualna dekonspiracja nie dawałaby nam żadnych szans na przeżycie. Do dziś pamiętam uczucie przerażenia na widok lufy automatu wymierzonego we mnie. Przeżyty wtedy strach, panika, bezsilność, przechodziły ludzkie pojęcie. A zarazem wielkie rozczarowanie i zawód.

W tej beznadziejnej sytuacji, zamknięci w wiejskiej kapliczce z wartownikiem na zewnątrz, oczekującym rozkazu zlikwidowania nas, natknął się przypadkowy, kontuzjowany żołnierz amerykański, wracający z posuwającego się frontu, który – jak się okazało – znał język polski! Rozumiał dużo. Gorzej było z mową. Dzięki temu spotkaniu uratowaliśmy życie. Wszystko to działo się w piękną jasną, mroźną, śnieżną noc z 23 na 24 stycznia 1945 roku. Nazajutrz, rozebrani brutalnie z amerykańskiej odzieży, po kilkunastu rewizjach osobistych, dołączeni zostaliśmy do grupy żołnierzy niemieckich, zabranych w tym rejonie do niewoli i wraz z nimi przewieziono nas do Francji – do miejscowości Epernay-sur-Gevrey, gdzie zatrzymano nas wszystkich w ośrodku jenieckim, mieszczącym się w dawnym więzieniu francuskim, w dużej „międzynarodowej” celi.

Po kilku dniach przewieziono nas – Polaków – do obozu cywilnego. Jako 16-letni żołnierz, obeznany już z hukami dział, bomb, pocisków i niewypalami niemieckich rakiet V1, od pierwszych dni szukałem z kolegami możliwości uczestniczenia w służbie i walce z odwiecznym wrogiem. Po kilku dniach nadarzyła się pierwsza okazja. Była nią praca przy armii amerykańskiej, którą natychmiast (w lutym 1945 roku) podjąłem. Praca ta polegała na transporcie samochodowym – wojskowym, za i wyładunku olbrzymich ilości amunicji, szczególnie pocisków artyleryjskich, z poboczy szos i innych miejsc magazynowania, na transporty kolejowe, a także z wagonów na inne szosy itd. Jednostka stacjonowała we Francji w pobliżu miasta Soissons-sur-Nacey.

Praca ta – jak się wkrótce okazało – nie wiodła ani do bezpośredniej walki z Niemcami, ani do Polski, przy czym wymagała dużej siły, na którą w tym okresie nie było nas stać na dłuższą metę. Wróciliśmy do obozu cywilnego w Epernay, gdzie spotkaliśmy się z patrolem wojskowym i werbunkiem w szeregi Ludowego Wojska Polskiego. Nie znaleźliśmy się na polityce, lecz wierzyliśmy, że Polska była i będzie jedna. Zgłosiliśmy swój zamiar wstąpienia do LWP, otrzymując zapewnienie, że zdążymy jeszcze bić Niemców.

Przez minione 53 lata nie mówiłem nikomu, że zgłaszając zamiar wstąpienia do LWP, otrzymałem 500 franków tytułem zaliczki na poczet żołdu. Po kilku dniach mieliśmy być odtransportowani do wojska.

Szczęście moje, że nikt w minionych latach nie odkrył tego faktu, bo byłbym dezerterskim – zdrajcą!

Właśnie po kilku dniach, niespodziewanie, nasz cywilny obóz polski, przenoszono na północ, do St. Briauc w Bretanii. Było nas około 100 osób, a może nawet więcej, wiele rodzin polonijnych z Alzacji, Lotaryngii, często z dziećmi. Osób samotnych było niewiele, wśród nich przeważały kobiety. Obóz mieścił się w zabudowaniach klasztornych, w niewielkiej części zajęty przez mnichów. Zakonnice prowadziły kuchnię, pralnię, magazyn odzieżowy itp. Zajęcia nie było tam żadnego. Nudę przerwał następny werbunek. W dniu 24 marca 1945 roku spotkaliśmy się z trójką oficerów polskich w angielskich mundurach, którzy prowadzili werbunek w szeregi wojska polskiego, w których po odbyciu krótkiego przeszkolenia mogliśmy jeszcze walczyć z Niemcami, a po zakończeniu wojny jako pierwsi powrócić do kraju. Nie rozróżnialiśmy wtedy LWP od PSZ, Oficerowie LWP byli wprawdzie elegancko ubrani w przedwojenne mundury, buty oficerskie... cacko. Ale przecież była jeszcze wojna, mundury były przecież różne.

Warunkiem przyjęcia ochotnika był wiek – minimum 18 lat, podczas gdy ja miałem ich tylko 16... Jak na swój wiek byłem wyjątkowo wysokiego wzrostu (186 cm). Dzięki temu wyglądałem na starszego niż wynikało to z metryki. Czuję się dorosły i odpowiedzialny. Miałem mocne postanowienie służenia Polsce z całych sił. W dniu 24 marca 1945 roku zgłosiłem zaraz (wraz z kolegami) chęć wstąpienia do Wojska Polskiego.

W dniu 28 marca 1945 roku przewieziono nas do Stacji Zbornej Nr 2 w Laval, gdzie przy wstępnej ewidencji zmieniłem rok urodzenia, podając 1926. I tak już pozostało.

Następnego dnia przewieziono nas do Stacji Zbornej Nr 1 w Paryżu, skąd – po przejściu przez komisję lekarską, umundurowaniu i krótkim przeszkoleniu zostaliśmy wysłani. Niestety, nie na front – jak zapowiadano, lecz na południe Francji, a po 2-3 dniach do Marsylii i... do Włoch.

Tak zostałem żołnierzem II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech. W pierwszych dniach kwietnia 1945 roku byłem w transporcie samochodowym na przedmieściu Bolonii, jako strzelec – telefonista. W tych dniach Niemcy podpisywały kapitulację na froncie włoskim i dzięki temu nie wszedłem do bezpośredniej walki i działań frontowych.

Po przegrupowaniu otrzymałem przydział do Koncentracji Łączności 7 Dywizji w Ostuni, gdzie byłem szkolony jako telegrafista, radiotelegrafista. Rozczarowanie i zawód potęgowały wiadomości o wyzwoleniu Ojczyzny i bliskim już końcu wojny, w czym nie mogłem mieć bezpośredniego udziału, mimo gotowości, zaangażowania i ogromnego zniecierpliwienia.

Wojna się skończyła. Kolejne rozczarowanie i gorycz, wobec niemożności natychmiastowego powrotu do kraju, o którego zniszczeniach dowiadywaliśmy się z komunikatów radiowych.

Deklaracja powrotu do Polski dotarła do naszej jednostki 15 sierpnia 1945 roku i w tym dniu została przeze mnie podpisana. Samą deklarację przyjąłem z wielką radością i niecierpliwie oczekiwałem dnia wyjazdu. Tęsknota za domem spotęgowana niepokojem o los rodziny przemogła strach przed „okupowaną” przez Sowieców Ojczyznę komunistyczną.

Z chwilą podpisania deklaracji jako zdecydowani na powrót zostaliśmy natychmiast odizolowani od reszty jednostki jako „komunistyczni agitatorzy”, podczas gdy każdy z nas był zwykłym Polakiem stęsknionym za ojczyzną. W naszej jednostce nie było zbyt wielu chętnych, ponieważ dużą część jednostki stanowili Polacy z Polonii Francuskiej i za swoją ojczyznę uważali Francję. Drugą, dosyć liczną część, stanowili byli żołnierze Wehrmachtu – przede wszystkim Ślązacy – którzy walczyli na froncie włoskim po stronie Niemiec, a po przedostaniu się do niewoli byli Polakami i żołnierzami drugiej strony. Wielu z nich nie deklarowało zamiaru powrotu do Polski.

Wkrótce umieszczono nas w wojskowym obozie repatriacyjnym – Ving 6 w okolicy Neapolu.

W dniu 1 grudnia 1945 roku wyjechałem wreszcie transportem wojskowym do Polski przez Austrię i Czechosłowację. W dniu 5 grudnia 1945 roku zbliżyliśmy się do granicy. Pociąg (towarowy) stanął w polu i z ostatniego wagonu w składzie pociągu wydano nam do rąk „zakonserwowane” towotem karabiny, pamiętające chyba czasy napoleońskie, a także bagnety – zakrzywione szabelki. O wzorach tej broni trudno cokolwiek powiedzieć.

Z karabinem w dłoni, zabezpieczonym przed smarami własnym staraniem za pomocą szmat i papieru, późnym wieczorem stanęliśmy w szeregu na peronie w Międzyzlesiu. Po oficjalnym powitaniu przez władze wojskowe i cywilne, z bronią już przy sobie, dojechaliśmy transportem do Koźła, gdzie po defiladzie z orkiestrą, przemaszzerowaliśmy do pobliskiej jednostki wojskowej, a tam komenda: „...Broń w kozły złóż” ! i... po broni. Żołnierze miejscowi karabiny i bagnety załadowali na taczki i odwieźli.

Zaopatrzony przez wojsko w połowę chleba, 2 łyżki cukru, wolny bilet kolejowy do Poznania i 500 złotych w dniu 8 grudnia 1945 roku znalazłem się w domu w Poznaniu.